

Urszula M. Benka

# Piskliwa ścieżka

(1)

Powszechny gniew na ustawę ACTA, która zapowiadała uczciwy, honorujący prawo autorskie i własność intelektualną, dostęp do Internetu, dał posmak, jak mocno Sieć nas pochwyciła i z jaką natomiast energią odsącza szanowane wzorce, probierze jakości. Internet rozsądniej uznać za przestrzeń nie tyle norm, co uniesień; posługujemy się tutaj czasownikami *lubić* albo *nienawidzić*. Jednak opis tego zjawiska będzie chybiony w terminach ustrojowych, tak przydatnych do objaśnienia licznych uwikłań rzeczywistości totalitarnej. Mówiąc o władzy nad informacją, o zarządzaniu kryteriami ocen, modelowaniu świadomości, względnie o wartościowaniu informacji stopniem emocji, jakie mogą wzbudzić, przeczyłoby się, tak jak 30 lat temu, uwikłanie klucze: **brak społeczeństwa**.

„Wprowadzenie socjalizmu równa się obaleniu społeczeństwa”<sup>1</sup>, adresata zmian, w tej sytuacji obojętne już, czy narzuconych w drodze rewolucji, czy w toku jakiegoś spowolnionego procesu, gdyż niezmiennie jest to dzielenie przez zero. Jeśli przyjąć powyższą diagnozę, zauważymy, że *socjalizm* nie wyczerpuje sprawy. Do obalenia społeczeństwa, rozbicia go na koterie, wiedzie oczywiście każda faszyzacja; istota faszyzacji polega na uśmięciwieniu międzyludzkich powinności i zobowiązań. Grupy ludzi zaczynają przypominać rozebrane na części auto. Rozłożone na plandecę części mogą mieć świetną markę jak radziecki balet, jak raporty klimatologów na katowickim szczycie COP24 2018; mogą być tedy sprawne, zgadza się ich liczbowy stan, ale całość nie spełnia swojej funkcji. Internet zatem, zjawisko postkomunistyczne, posttotalitarne, od samych narodzin rozporządza wysypiskiem gruzu.

To znaczy, że nie mamy kultury. Już Simone Weil, „mistyczka-buntownicza”, „ta szalona! ta wariatka!”, jak nazywał ją Józef Czapski, odkrywała (z konsternacją, ponieważ przyszło jej żyć w epoce kultu masowości i jednomyślności – zmarła w 1943): **nie ma sztuki poza społeczeństwem**. Ale nie ma też kultury bez sztuki. Sztuka nie jest tylko zbiorem dzieł: Kafki, Manna, Babla, Strzebińskiego, Prokofiewa, Brunona Schulza. Oślawione twarde, oparte na strachu więzi społeczne chroniły wyłącznie sam (anarchiczny, bo śmieciowości faszyzmu to anarchia) proces produkcji.

Zamiast odtwarzać społeczeństwo, po 1989 odtworzyliśmy zaledwie skromną ilość instytucji dobra publicznego. Miały na celu ochronę jednostki, w praktyce jednostki już potężnej, wpływowej, okopanej na swoim, a nie jakości więzi międzyludzkich w pracy, kościele, mediach, banku, szkole i sklepie, które stały się prawie natychmiast ponownie

uśmięciwione i niech za przykład wystarczy kredyt na papierosy, jakim kioskarski służył małoletniej córce swojej stałej, lubianej klientki. Żalonną społeczną ruinę puściliśmy na przemiał w tryby wolnego rynku. Rynek zaś stał się **faszystowski** z momentem połączenia śmieciowości oraz fascynacji. Wykluczał kopniakami całe grupy, całe środowiska, przerzucał się na sfery trwoniwie dotąd chronione, przykładowo miłość i świętość. Zamiast społeczeństw reanimowaliśmy bowiem państwa. Stały się znów podmiotami na politycznej mapie; wymieniono w nich aparat przemocy na mniej dolegliwy; w Polsce upaństwowiony został nawet największy związek wyznaniowy, państwo wraz z nim wessało i mieli naszą moralność. Po półwieczu desocjalizacji upaństwowiona moralność nie wyklucza się z przestępczością, chciwością, mściwością, podejrzliwością, rozpadem rodzin, znieczulicą, nałogami. Lecz powtórzę, chodzi o ludność, jaka przed desocjalizacją komunistyczną i na skutek wypędzeń, przeszła desocjalizację w postaci II wojny światowej z jej skądową, a mianowicie zagładą Żydów. O tej wyrwanej dziurze nie było jak myśleć, bo na to, co się stało, nie istniała żadna nazwa. A jednocześnie, jak skonstatował Theodor Adorno, rozrost słownika o neologizmy w rodzaju *holokaust*, czy, w sensie już ściśle prawniczym, *ludobójstwo*, dał początek „uwspółmiernienia”, przyswojenia, ustawienia „tego” w jednym rzędzie obok innych zbrodni. Tyle, że ludobójstwo nie jest zbrodnią w tradycyjnym znaczeniu występku przeciw powszechnie uznawanemu systemowi wartości, i dlatego popełnianą przez *margines*. Ono wynika z powszechnego systemu wartości; tylko *margines* mu się przeciwstawia.

Z drugiej strony, przy ogromie tej dziury było nam łatwiej o uniki. Na gruncie filozofii uniwersyteckiej, oczywiście każdy potrafił zdyskredytować tezy ludobójczej ideologii, zwłaszcza upadłej już, jak nazizm, atoli fenomen nietykalności Heideggera pozostawał nietykalny. Punktowe skupienie na błędach logicznych, na naruszeniach standardów myślenia i aksjomatów światopoglądowych, wygłoszyło głębinowe emocje zupełnie tak, jak u korektora naukowego artykułu, pochłoniętego poprawnością interpunkcji, spacjami, dysgrafią – lecz nie treścią. Powoduje też znużenie w wypadku zbyt odległych, zbyt swobodnych ekstrapolacji, jakie mogłyby zaintrygować. Uniknęliśmy więc przez długie 50 lat namysłu nad faktem, że poza Czechami, w całej środkowo-wschodniej Europie już przedtem doszły do władzy zabójcze dla więzi społecznych systemy albo wręcz oddolnie organizowane formy współpracy z totalitaryzmem, że

pewnymi fluidami wniknęły nawet do myślenia o psychice czyniąc ją śmieciową, bądź też teorii arcyzmu, czyniąc go śmieciowym. Zanik społeczeństwa oznacza porwanie na strzepy więzi już rozpaczliwie zasuplonych. Owszem, są one wciąż między-ludzkie, ale u nikogo nie prowadzą do pokładów autentyczności. U jednostek, które straciły kontakt z własnym ja, więzi z innymi dostarczają okazji do pozerstwa, kłamstwa, manipulacji. Tak więc do Sieci wpadł gruz, a wraz z nim człowiek, wszakże tylko jako obywatel, konsument oraz towar.

Jednostka zmienia się w niepochwytym zgoła kierunku. Kultura, nawet w ujęciu strukturalizmów, nie da się wyobrazić bez jednostki. Społeczeństwo istnieje tylko tak długo, jak długo konkretny człowiek jest drożny psychicznie, jak długo to szanuje i tedy godzi się na własną tożsamość. Rolą społeczeństwa jest mu to **zapewnić**. Kultura ustala formę zbiorowej zgody na drożność; jest ową formą.

Sztuka odpowiadałaby ujawnianiu kontestatorskich „wrażeń” doznawanych podczas przechadzek po psychicznych wnętrznościach, niczym podziemnymi kanałami. Sztuka obrazowa i literacka pozwoli tu na dystans niemożliwy w wypadku sztuk operujących takimi zmysłami jak dotyk, smak, węch i równowaga. Jednak „wszystkie wrażenia zmysłowe odebrane od rzeczy świata materialnego, budzą najpierw w człowieku uśpione władze duszy i wprawiają je w czynność, a będąc początkiem wszystkich działań umysłu, są zarazem początkiem wszystkich działań i myśli” – powtórzę za Ryszardem Przybylskim słowa Jana Śniadeckiego, oświeceniowego matematyka i astronoma, skasowanego jedną pseudoballadą *Romantyczność* przez nasz zadufany, obrazalski romantyzm. O tym za chwilę, bo jeśli chodzi o dziurę wyrwanego żydowstwa, i jeśli je wolno tutaj wstępnie potraktować jako **nieco inne wzorce** społeczne i ludzkie niż kultywowane wokół, jako mianowicie implanty mikro społeczeństw<sup>2</sup>, to sztuka po 1945 uniknęła **ukazywania** stanów ducha kata oraz świadka, choćby ich gotowości do tworzenia nazizmu „z ludzką twarzą”, choćby miał on polegać na urządzaniu sobie nocy kryształowych bez płacenia za to wielodniowym kuleniem się w schronach przeciwnoludzkich.

To, o czym teraz mowa, pozostawiło uśpione „władze duszy”. trwało ukryte za upozowanym choć szczerym oburzeniem, ukryte za słowem-kluczem „och, to jest nie-ludzkie”, podczas kiedy było jak najbardziej ludzkie, doświadczane wcale nie tylko pod przymusem, niekoniecznie ze względu na czyjeś osobiste konflikty, prawdopodobnie